N^ro 4

ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Utile dulci.

PISMO DODATKOWE
DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO,
we Środę dnia 28 Stycznia 1829 Roku.

I.

Oblężenie Miasta Lwowa przez Turków w roku 1672.

(Ciąg dalszy.)

Nazaiutrz, o iest: dnia 27 Września, ze wszystkich dział poczęli Turcy straszny ogień sypać do miasta, na który oblężeni odstrzeliwali przez cały dzień z 70 dział swoich, którémi do tegoż obwarowane były przystępy; iednakże stalowe kule tureckie 24 funtów ważące, chociaż ogromny łoskot czyniły, nie większą atoli szkodę zrządzały, ulatuiąc po nad szczytami wież, lub dotykaiąc wierzchołków dachów; gdy tymczasem załoga bezpiecznie pod szańcowemi koszami nad obroną miasta czuwała. Tegoż dnia z rana zaczęli Turcy od stanowiska swego robić dwa występy podziemne, z których ieden prowadzony był od tego mieysca, gdzie pagórki winne (*) schylać się poczynaią, aż do małéy baszty niedokończonéy, naprzeciw Klasztorowi Karmelitów bosych, leżącemu za miastem; drugi zaś powzdłuż gościńca wiodącego do Klasztoru Panien Bernardynek. Dowódzca iednak Janczarów, nie czekaiąc na owe drogi kopalne, uderzył z niemi nayprzód na ten Klasztor ostatni, i chociaż wielu z nich, od gęstego ognia z ręcznéy broni załogi mieyskiéy poległo, (nie daléy bowiem iak na 200 kroków od murów miasta oddaleni byli) drudzy iednakże po trupach zabitych przedarli się aż do samego Klasztoru, gdzie bezpieczni będąc od pocisków mieyskich, za murem klasztor otaczaiącym, zaczęli kopać rów podziemny do bliskiego tamtemu klasztoru Bernardynów, i przez następne 2 dni nieprzerwanie działaiąc, doprowadzili go iuż do samych murów. Czém przestraszeni Xięża i inni, którzy się w nim znaydowali, uszli bez odwłoki z Klasztoru; owszem i załoga miasta powszechną tą trwogą przeięta, chciała iuż opuścić swe stanowiska, gdyby nie pewny sztukmistrz woyskowy, rozkazawszy z przeciwnéy strony muru dół wykopać, i wodą zalać, nieprzyiacielski ten zamach w niwecz nie obrócił.

Magistrat uwiadomiony od zbiegów, którzy codziennie z więzów tureckich uchodzili, że obóz nieprzyiacielski nie dosyć pilnie był strzeżony, osobliwie rynek rzeczy przedaynych, bazarem zwany, nie tylko pełen był żywności, ale też towarów zagranicznych, i kramów gdzie wymieniano pieniądze, a którego ieden tylko poczet Janczarów gnuśnie pilnował: postanowił w nocy zrobić wycieczkę, dla przyśpieszenia któréy, pospólstwo miey-

(*) *Mamy ślady historyczne, że w dawnych wiekach, iako na wielu mieyscach Polski, tak też około Lwowa istniały kiedyś winnice: lecz wielokrotnie przez napady Tatarów, i pustoszące w owych czasach woyny zniszczone, w końcu zupełnie zostały zaniedbane.*

skie i włościan, zdolnych raczéy do kradzieży aniżeli do boiu, zachęcał. Ci potaiemnie każdéy nocy z miasta wychodząc, z pastwisk na przodku leżących, wielbłądy, woły i osły, ukradkiem zabierane, do miasta przypędzali. Po uczynionéy więc z dowódcą załogi mieyskiéy naradzie, wyszło za mury fałszywemi drzwiami 400 ludzi z szeregowców i mieszczan, do których przyłączyło się nie mało rzemieślników ułudzonych nadzieią zdobyczy. Lecz gdy iuż między fossami podmurowemi czekali czasu do wyyścia, usłyszeli gwar ludzi bydlęta poganiaiących, i dowiedziawszy się od wyprawionych na zwiady, że Turcy z niezmiernem utrudzeniem wołów i ludzi, 4 machin do łamania murów Klasztoru Bernardyńskiego prowadzą, maiąc przy sobie kilka rot Janczarów: nie zdawało im się, aby mieli w tak małéy liczbie, na dobrze uzbroionych i do walki gotowych, uderzać. Odeszła przeto większa ich część znowu na swoie stanowisko, a Turcy uczyniwszy krzyk wielki, i dawszy ognia z muszkietów, uderzyli na tylny poczet załogi, i wielu z niéy pobiwszy, resztę aż do stanowisk straży nocnych odparli.— Tych krzykiem i hasłem drudzy obudziwszy się ze snu, co żywo poczęli dosiadać koni, zabierać z sobą tłomoki, pakować sprzęty woyskowe i zmierzać do ucieczki tak długo nie przestawali, póki ciemności nocnych nie rozpędziła iutrzenka. Gdy się nazaiutrz rozedniało, Turcy powrócili do zaczętego dzieła, a iedna ich część opanowawszy Klasztor Bernardynek, usadowiła się po wszystkich celach onegoż, z których dawała ognia do tych, którzy Klasztor Bernardynów bronili: drudzy zaś daléy ciągnęli podkop zaczęty onegday do murów klasztornych. Znaczna atoli część Turków wyprowadziwszy po nad szaniec i fossę poprzeczną od ulicy Gliniańskiéy 4 tarany na wozach, temiż do murów Klasztoru Bernardynów szturmować nie przestawała, z naywiększém oblężonych niebezpieczeństwem i strachem. Bo gdyby Turcy w iednym i tymże samym punkcie mur byli tłukli, wkrótceby go może z ziemią zrównali: lecz kiedy na różnych punktach oddzielnie uderzali, nic więcéy iak tylko głębokie rozpadliny w nim porobili. Rzecz uwagi godna, iż oba te Klasztory Zakonu Ś. Franciszka, tak nieprzyiaźnie z sobą walczyli, że gdyby Patronowie miasta, a między niemi pierwszeństwo trzymaiący B. Jan z Dukli (którego grobu kule nieprzyiacielskie razić nie śmiały) pomocy z Niebios nie dali, bez wątpienia byłaby klęska całe miasto potkała.

Obronę wysokiego zamku zlecono (iakom wyżéy namienił) dwom kompaniom piechoty; lecz ażeby i ta mała garstka od Turków uwiedziona nie była, nocną porą rozkazano iéy przenieść się w pośrodek miasta. Co gdy nastąpiło, Turcy go natychmiast zaięli, i 2 małych dział w nim umieścili. Tymczasem, gdy nieprzyiaciel kule działowe rzucał na miasto, które mu swoiemi nawzaiem odpowiadało, Xiążę niebieskich zastępów Ś. Michał Archanioł, w dzień poprzedzaiący swą uroczystość, nawalny deszcz z wichrem spuściwszy, nie tak bardzo miasto, iak raczéy nieprzyiaciół zastraszył. Wieszczkowie tureccy za złą wzięli to wróżbę, mieszkańcy iednak poczytali zdarzenie owo za zbawienne hasło pomocy, którą im przynieść miało woysko niebieskich duchów z Xiążęciem swoim. Owszem niektórzy roztropnieysi, przypominali sobie, że XX. Bernardyni (których Turcy iawnie i potaiemnie naybardziéy attakowali) na 2 miesiące przed tém oblężeniem, na szczycie wieży Kościoła swego zatknęli byli chorągiewkę, iako skazówkę wiatru, z napisem w pośrodku teyże z Pisma Śgo: *Michael fecit victoriam*, którą chociaż po zdarzonym

przypadku z chorągiewką ratuszną, z mieysca swoiego zdjęli; iednakże powszechném było mniemaniem, iż tę niepogodę burzliwą iako przepowiednią zwycięztwa, Xięża wspomnieni uprosili, a Michał Ś. (pod którego imieniem było w Kościele ich bractwo woyskowe) przez nią pomocy swoiey czynił otuchę. Jakoż w tém oczekiwaniu, mieszkańców Lwowa nie zawiodła nadzieia, ponieważ teyże nocy Franciszek Lubowidzki Kasztelan Wołyński, Posłem od Rzeczypospolitéy do Sułtana tureckiego wyznaczony, Hanowi tatarskiemu dał znać o swém przybyciu, i żądał wolnego przeyścia dla siebie. Han uwiadomił o tém Kapudan Baszę, i prosił ażeby za przybyciem Posła Polskiego, zaprzestał kroków nieprzyiacielskich. Ta więc okoliczność sprawiła, iż oblężenie miasta tak silnie popierane, w zapale swoim nader zwolniało, i rzadko iuż widziano lecące kule do miasta, a w następuiącéy nocy żadnego więcéy strzelania nie słyszano.

Dnia 29 Września z rana przybył do miasta kuryer Kapudana Baszy z uwiadomieniem: iż do obozu nadeszło iuż 2ch Posłów Polskich, dla rozpoczęcia układów z Portą, i żądał, aby tą razą z obu stron oręża nie podnoszono. Mieszkańcy przeto we dnie i w nocy obroną miasta znużeni, bram i murów iego nie tak czuynie iak pierwéy doglądać poczęli; lecz Prokonsul i dowódca załogi, obawiaiąc się, aby w tém nie zachodziła iakowa zdrada, rozkazali podwoić straże, szpiegów kilkakroć przez noc przeglądać, tych zaś, którzy codziennie zbiegali do miasta z więzów tureckich, o zamiarach nieprzyiacielskich badać. Niektórzy z mieszkańców ganili wprawdzie niewczesną tę ostrożność, iednakże nienadaremnie chwycono się takiego kroku, gdy z powieści iednego zbiega zrozumiano, że Turcy podkopy zaczęte pod murami Klasztoru Bernardynów, w niedostrzeżoney cichości daléy ciągnęli. Ci przeto, którzy w tymże Klasztorze schronienie mieli, nie chcąc wystrzałami z muszkietów, zawieszenia broni naruszać, przestali tylko na ciskaniu kamieni, któremi mocno nieprzyiacioł trapili, podkopy zaś przez nich robione, wodą pozalewali.

Nazaiutrz mieszkańcy Lwowa zgromadzeni na radę, postanowili wyprawić Deputacyą do Franciszka Lubowidzkiego Kasztelana Wołyński i Jana Szumowskiego Podskarbiego Koron: w interessie okupu miasta, bez którego Turcy bynaymniey oblężenia zaprzestać nie chcieli. Zgodzono się wprawdzie na wyprawę Deputacyi, lecz żadnemu okupowi od nieprzyiacioł mocno się sprzeciwiano, z tego osobliwie powodu, iż miasto nie było oyczystém dobrém mieszkańców, ale Rzeczypospolitéy, na którey woysko, codzienne podatki od każdéy głowy i domu ciż opłacali: oprócz tego zaś maiątki onych, dwoma poprzedniemi nader wielkiemi okupami, mocno były zniszczone, i krom oręża nic więcéy im nie zostawiono. Wreszcie oświadczyli się zgromadzeni, iż przedsięwzięli mocą tegoż oręża, albo swoię wolność odzyskać, albo ostatek krwi swéy dla oyczyzny poświęcić. — Widząc Prokonsul iż takiéy wielości głosów i zdań, sprzeciwiać się byłoby rzeczą daremną, zaprosił na ratusz dwie znakomite osoby ze stanu duchownego, wespół z przełożonemi Klasztorow; w obecności których, przy wielkim mnóstwie ludu te słowa wyrzekł: »Bardziéy tu potrzeba uczynku, niżeli rady, gdzie bezpieczeństwo „wszystkich na sztych wystawione, ostatniego czeka zamachu. Chociaż bowiem „nie przyszliśmy ieszcze pod iarzmo nieprzyiacioł, iednakże ich orężem zewsząd „ściśnieni iesteśmy, iak trzoda w chlewie „zamknięta, która codziennéy rzezi wy»gląda. Ani nam tayno, że Sułtan tu-

)(

„recki opanowawszy Kamieniec, wyprawił część woyska na wyłupienie drugiego ruskiéy krainy oka: sam zaś z „resztą potęgi swéy ogromu, stanąwszy „obozem pod Buczaczem, nie ruszy z „tamtąd, dopóki, iak wieści niosą, po „zdobytym Kamieńcu, nie zagarnie ie„szcze i Lwowa. Alboż nam nie iest „wiadomo, iak silny ten mocarz w po„tędze? Siłaż to iuż naywarownieyszych „miast pod swoię władzę nie podbił? a „teraz iedną mieścinę, ani woyskiem nie „osadzoną, ani w warownie podług sztu„ki nowszéy architektury nie opatrzoną „owo zgoła bezbronną, pod iarzmo swoie „nie mógłby podbić? i z kądże dostanie„my świeżych posiłków dla dania mu „odporu? z kąd mamy taki zapas żywno„ści, abyśmy oblężenie to ieszcze i dłu„żéy wytrzymać mogli? Nierównemi „siłami iakichkolwiek miast lub zam„ków bronić, nie iestże to iedno, co nie„przyiacielowi one poddawać? Potrze„ba nam więc abyśmy ulegli okoliczno„ściom, nie zaś irrytowali tych dum„nych bisurmanów. Dosyć piękny do„wód stałéy wierności okazaliśmy pol„skiemu światu, kiedy w tak małéy li„czbie walcząc nierównie z większą siłą „nieprzyiaciela, dotychczas go wstrzy„mywaliśmy, ażeby się nie posunął we„wnątrz Królestwa; lecz pięknieysze ie„szcze odwagi naszéy damy świadectw, „gdy ocaliwszy miasto: przybytki Świę„tych, cześć prawdziwego Boga, rodzeń„stwa nasze, i miłą każdemu oyczyznę, „zachowamy od barbarzyńskiego naiazdu. „Dotychczas ci pohańcy karków naszych „pragnęli, a teraz gdy okrucieństwo zmie„niwszy na łakomstwo, pieniędzy od „nas żądaią, zostawmy w ręku naieźdni„ków nasze maiątki, abyśmy chociaż na„dzy, iednakże w całości zachowani mo„gli uyść niebezpieczeństwa; a wszakże i „tonący brzytwy się chwyta, a po rozbi„ciu okrętu nikt obciążony wypłynąć „nie potrafi, i woli raczéy wszystko do „morza wrzucić, byle tylko życie zacho„wał. Podobnież i my, choćby z uszczerb„kiem fortuny wykupmy się od zguby, „i raczéy złotem, aniżeli krwią naszą, „złagodźmy dla siebie oręż turecki."— Te mowę gdy wszyscy zgromadzeni (wyiąwszy niektórych co onéy przeciwnemi byli) zgodnie przyięli, zaraz wyznaczono deputowanych, to iest: X. Jakoba Gawata, Kanonika Metropol., Jana Gąsiorowskiego Radcę Magistratu, Gabriela Bernarda Seniora, Sebestyana Szwarcewicza iednego ze czterdziestu mężów.

Deputacya Lwowska d. 1 Października przez godowników tureckich do namiotów poselskich wprowadzona, oświadczywszy Posłom, iako mężom wybranym z grona Senatorskiego, wszelkie usługi od miasta przynależne; wynurzyła potém swe prożby, ażeby mieszkańców iego, przez poprzednicze dwoyga okupienia się, podatki codzienne, i oblężenie teraźnieysze, do nędzy okropnéy przywiedzionych, nieznośnym ciężarem okupu nie obarczano; ale raczéy ażeby Rzecz-pospolita, miasto lepiéy nad inne ku sobie zasłużone, i w nim stolicę metropolitalną, dikasteryum z aktami grodzkiemi szlachty, zbroiownią Królestwa, osobliwie zaś wolność Chrześciiańską, własnym groszem z rąk naiezdników tureckich oswobodziła. Wiedzieli o tém Posłowie Polscy, iż nieprzyiaciel na to żądanie miasta nie zezwoli, i na prożbę oblężonych przystać nie zechce: radzili więc deputowanym, ażeby raczéy maiąc wzgląd na Rzeczpospolitą do upadku schyloną, iak na prywatne swoie widoki, ten pożar woyny, ieżeli nie krwią, to przynaymniéy pieniędzmi ze składek ugasili, i tym spo

sobem postępy oręża nieprzyiacielskiego wstrzymali. Wreszcie czynili obietnice miastu, wynagrodzenia szkód poniesionych, przez nadanie nowych korzyści, i uwolnienie od podatków. Chcąc zaś w téy mierze zrozumieć ieszcze myśl wodza nieprzyiacielskiego, wespół z deputacyą udali się do koczowisk tatarskich, gdzie podtenczas Kapudan Basza przebywał. Jakoż przypuszczeni na posłuchanie tureckiego i tatarskiego dowódzcy, usiłowali wyiednać mieszkańcom Lwowa (iako ludziom spokoynym, z handlu i pracy żyiącym, którzy [się nie dopuścili żadnego przewinienia ku Porcie Ottomańskiéy) ażeby na nich żadnego okupu nie nakładano. Lecz głuchym na te przedstawienia i proźby okazał się Kapudan Basza, i na wynagrodzenie kosztów podjętych na woysko swoie, artylleryą, i podkopy czynione w przeciągu oblężenia, domagał się od miasta aby mu 100,000 czerwonych zł. złożyło. Na to oświadczyli deputowani mieyscy, że mieszkańcy Lwowa będąc wyniszczeni dawnieyszém i teraźnieyszém oblężeniem, nie są w stanie zapłacić tak wielkiego okupu, i wolą raczéy nowe szturmy wytrzymać, lecz bronić się będą do upadłego. Rozjątrzony tą odpowiedzią Basza, odezwał się do nich w te słowa: »Natrętnie bardzo prosicie o naszą łaskę, „którą niedawno gdyśmy wam ofiarowali, pogardziliście; tak dalece, iż nawet „świętokradzkie ręce wasze śmieliście podnieść a niezwyciężone woyska naszego „pana i zastępcę Boskiego. Ten krok zuchwały ściągnął na was sprawiedliwy „gniew i zemstę Sułtana. Teraz dopiero „kiedyście wpadli w tak przykre położenie, iak wilcy w samołówkę, wyciągacie „ręce wasze z proźbami, których iako z „boiaźni i obłudy pochodzących, ani Bóg „nie wysłucha, ani ia przyiąć nie może; tak wielkie zatem bezprawie, przeciwko Zastępcy Maiestatu Bożego, Sułtanowi moiemu popełnione, trzeba wam „albo głowami waszemi, albo też fortunami „przypłacić. Jeżeli więc 100,000 czerwonych zł. we trzech dniach nie złożycie, „wszyscy od miecza poginiecie.”

(Dalszy ciąg nastąpi)

II.

FARYS. (1)

Powieść Arabska przez

Adama Mickiewicza.

Wyięta z Noworocznika Melitele, wydanego przez A. E. Odyńca.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwiia się krysztale,
I pierś morza obiąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyią łabędzią buia po nad fale;
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki,
Na obszar pustyni strąca;
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki,
Z głuchym szumem, iak w nurtach wody (rozcina
stal gorąca.
”Już płynie w suchem morzu koń móy, i
Szypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżéy, coraz chyżéy,
Już po wierzchu zwir zamiata;
Coraz wyżéy, coraz wyżéy,
Już nad kłęby kurzu wzlata. (2)
Rumak móy czarny iak burzliwa chmu(ra,
Gwiazda na czole iego iak iutrzenka błyska,

(1) Faris, *ieździec; iest to zaszczytne nazwanie u Arabów beduinów, znaczące to samo co* chevalier, *rycerz, w wiekach średnich.*

(2) *Cztery te wiersze zawieraiące opisanie konia są tłómaczone z Arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do Antologii Arabskiéy* de Lagrange.

Na wolę wiatrów puścił strusiéy grzywy
pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.
Pędź latawcze białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!
Daremnie palma zielona,
Z cieniem i owocem czeka;
Ja się wydzieram z iéy łona,
Palma ze wstydem ucieka,
Kryie się w głębi oazy,
I szmerem liści z moiéy dumy się uśmiecha,
Owdzie, granic pustyni pilnuiące głazy,
Dziką na beduina poglądaią twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniaiąc e-
cha,
Taką za mną groźbą gwarzą:
"O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów,
Głowy iego nie ochroni,
Ni palma zielono-włosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam ieden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocuią,
Tylko gwiazdy tam koczuią."
Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwaiam razy:
Spoyrzałem, aż dumne głazy
Zostały z dala odemnie,
I ze wstydu, rzędem długim
Kryły się ieden za drugim.
Sęp usłyszał ich groźbę, i ślepo uwierzył,
Że beduina weźmie na pustyni ieńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył;
Trzykroć czarnym obwinął głowę moię
wieńcem:
"Czuię, krakał, zapach trupi, (3)
Jeździec głupi, rumak głupi.

(3) *Powszechny na wschodzie przesąd, że sępy czuią śmierć z daleka i krążą za człowiekiem maiącym umrzeć. Jakoż, zaledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwéy zgoła nie były widziane.*

Jeździec w stepach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdcze, koniu, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni iest tu łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocuią,
Tylko sępy tu koczuią." (rągał,
Krącząc, lśnieiącemi szpony w oczy mi u-
Spoyrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł?—Sęp uląkł, i uciekł wysoko.
Kiedym go chciał ukarać, i maydan nacią-
gał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił;
Już on wisiał w powietrzu iako plamka
szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara;
Potém się całkiem w błękicie roztopił.
Pędź latawcze białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!
Wtenczas obłok zachodni wyrwał się
z pod słońca, (sklepie.
Gonił mię białém skrzydłem po błękitnym
On w niebie za takiego chciał uchodzić goń-
ca,
Jakim byłem ia na stepie.
Nad głową moią zawisnął,
Taką groźbę z wiatrem świsnął:
"O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanéy kurzem skroni.
Strumień na błoniu jałowém,
Nie ozwie się srebrném słowem,
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ią głodny w lot rozkradnie."
Daremnie groził pędzę i podwaiam razy:
Obłok strudzony zaczął po niebie się sła-
niać:
Coraz niżéy głowę skłaniać;
Potém oparł się na głazy.

A gdym oczy raz ieszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec iak trup zczerniał, i w górach się
schował.
Pędź latawcze białonogi,
Sępy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie.
I na ziemi i na niebie,
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem uięta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
Tu żywioły drzémią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.
Przebóg! ia tu nie pierwszy! śród piasz-
czystéy kępy
Oszańcowane świecą się zastępy,
Czy błądzą, czy z zasadzki czatuią na łupy?
Jeźdzce w bieli, i konie straszliwéy białości:
Przybiegam—stoią; wołam—milczą; to są
Starożytna karawana, (trupy!
Wiatrem z piasku wygrzebana.
Na szkieletach wielbłądów siedzą ieźdzców
Przez iamy gdzie były oczy, (kości.
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy,
I złowrogie szemrze ięki:
»Beduinie opętany,
Gdzie lecisz? tu huragany! (4)—"

Ja pędzę, ia nie znam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!
Huragan, z afrykańskich pierwszy bu-
(rzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdu-
miał, (miał:
I kręcąc się na mieyscu tak do siebie szu-
"Co tam za ieden z wichrów, moich młod-
szych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnéy postaci,
Śmie deptać lądy, którém w dziedzictwie o-
siągnął?"— (ciągnął.
Ryknął, i ku mnie w kształcie piramidy
Widząc żem był śmiertelny i nieustraszony.
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabią zmącił,
I iak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię.
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam iego członków kłęby,
Ćwiertuię piaszczyste ciało,
Gryzę ie wściekłemi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo u-
ciec słupem. (nął;
Nie wydarł się, wpół ciała zerwał się i ru-
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim, iak wał mieyski,
trupem. (łem dumnie.
Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądą-
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie;
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno, szeroko,

(4) Huragan. *Jest to wyraz Amerykański* urikan *i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znaiomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów Arabskich* Semum, Serser, Asyf, *i t. p. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznéy, zasypuiącéy niekiedy całe karawany. Persowie nazywaią go* Girdebud.

Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie!
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko,
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcéy świata zasięga,
Niż iest w kole widno-kręga!
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzeyme, (mę!—
Zda się że go ze wschodu na zachód obey-
Myśl moia, ostrzem leci w otchłanie błękitu, (szczytu.
Wyżéy, wyżéy, i wyżéy, aż do niebios
Jak pszczoła, topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ia, za myślą, duszę utopiłem w niebie.

III.

W Kentuky w Stanach Zjednoczonych Ameryki połnocnéy, są niezmierne pieczary łączące się z sobą, i ciągnące się pod znaczną przestrzenią kraiu, znayduią się w nich kości ogromnego zwierza przedpotowego, zwanego Mammouth: Rzadko się zdarza ażeby podróżni śmieli przebiedz całą ich długość. Dwóch Amerykanów niedawno odważyło się na to. Opatrzyli się w pochodnie i żywność na dwa lub trzy dni. Nayswiększém zagrażaią niebezpieczeństwem przepaści wązkie i głębokie w kształcie studni, w głębi których znayduią się źródła słone. Podróżni ci byli tak niebaczni, że tylko zapalili iednę pochodnię, niósł ią P. Dunn; iego towarzysz P, Wickford trzymał kosz z żywnością. Niekiedy dla przebycia mieysc niebezpiecznych, musieli czołgać się na rękach i nogach. W chwili gdy się zbliżali do przepaści, P. Dunn upuścił pochodnię, która padłszy na ziemię zgasła. P. Wickford maiąc flaszeczkę z fosforem i siarniczki, chciał zaradzić temu przypadkowi, ale pośliznął się i wpadł w studnią wody słonéy, ledwie zdołał wyrzec te słowa: *Niechay Bóg zlituie się nad nami*, i P. Dunn usłyszał iak stoczył się na dno przepaści. Po tym odgłosie nastąpił krzyk boleści a po nim głębokie milczenie. Nadaremnie wołał na niego przestraszony towarzysz, nie odebrał odpowiedzi, i uyrzał się w takim stanie, w iakim był ten młody malarz w Rzymie obłąkany w Katakumbach, którego udręczenia tak poetycznie Delil opisał. Zdawało się że w pośród ciemności P. Dunn nie wyydzie z iaskini, probował iednak i czołgał się na los; wycieńczony trudem musiał zatrzymać się, gorzkie łzy wylał i zazdrościł towarzyszowi swoiemu prędszéy ale nie tak strasznéy śmierci w głębi przepaści. Po kilku godzinach letargicznego snu, ożywiła się w nim słaba nadzieia i ostatnie uczynił usiłowanie. Lecz znowu wpadłszy w rozpacz chciał rzucić się w przepaść i skończyć swoie męczarnie, gdy postrzegł zdaleka słabą światłość. Były to promienie dzienne. Szedł daléy do rozpadliny przez którą wydostał się z tych okropnych pieczar. Tak ocaliwszy się od śmierci umyślił uczcić pogrzebem zwłoki P. Wickford. Uczynił wyznanie przed zwierzchnością kraiu, udano się do pieczar z pochodniami, a po długich i trudnych poszukiwaniach, znaleziono wreście zgruchotane członki nieszczęśliwego podróżnika.